28 Grudnia. r: 1822.

WANDA

Nr: 26.

TYGODNIK POLSKI.

Talent widzenia.

POWIASTKA FRANCUZKA.

Liczne towarzystwo zebrało się na wsi; był już wieczór. Młody wysoki mężczyzna nic nieznaczącej twarzy, z długiej przechadzki powrócił ziewając. Nudził się z rana, nudził się podczas obiadu, zawsze spiący, nie sypiał nigdy. Doradzono mu aby wyszedł na przechadzkę. Panie Froidure! Poruszenie — rzekł mu jeden z towarzystwa — rozerwie WPana.

Namyślał się długo, dał się nakoniec namówić, a poziewnąwszy wprzód kilka razy wyszedł.

Otóż już jest z powrotem, zmęczony ale nie weselszy. Wziął skrzypce i niedbale odegrał kilka wesołych tańców które go uspiły. Gdy się to dzieje i jeszcze przechadzano się po ogrodzie, P.

Vertagę inna osoba z tegoż towarzystwa powraca także z przechadzki ocierając czoło, ocierając kapelusz. „Zmęczyłem się — zawołał, i usiadł razem z innemi.

— Zabawiłżeś się na przechadzce? — spytał się go jeden z towarzystwa.

— Ja się nigdy nie nudzę — odpowiedział Vertage.

— I cóżeś widział?

— Mnóstwo rzeczy ciekawych?

— Opowiedź nam.

— Com widział?

— Tak, coś widział.

— Smielibyście się zemnie.

— A to czemu?

— Nie widziałem nic nadzwyczajnego; niemaż dnia żeby idący tąż samą drogą, tego samego lub co podobnego nie widział.

— Chyba że widzi te rzeczy, a nie uważa ich, — rzekł Staruszek z tego samego towarzystwa który dotąd milczał.

— Opowiedz nam, opowiedz coś widział — zawołały damy.

— Kiedy Panie każą, chętnie dopełnie ich woli. Będzie to najmniej nadawyczajna podróż z dotąd opisanych.

Zacznę historją möją jak Don Kiszot od przypadku w domu Zajezdnym, a tym jest Gospoda na

końcu wsi leżąca pod znakiem Słońca wschodzącego. Zbliżyłem się do niej; gdy w tym uderzony osobliwszym widokiem, podparłem się na tym grubym i sękatym kiju, wiernym towarzyszu nieszczęść moich i zastanawiałem się z uwagą nad napisem....

— Nad napisem? Jakim? Greckim czy łacińskim?

— Niestety! francuzkim, ale bardzo niedorzecznym. Rozciągał się na jednej linji wzdłuż całego domu. Litery były białe ale zasmolone na tle czerwonym jak krew wołowa. Osnowa napisu była następująca: *Brisemiche Oberzysta daje objady i kolacje*; *Mą pokoje osobne dla*... Na tym kończył się napis.

— Jak to pokoje dla... — zawołali wszyscy.

— Takie jest literalne brzmienie napisu. Zdziwiony nad tą osobliwością zacząłem przyglądać się, zastanawiać, uważać, a że uwaga i zastanowienie jest ojcem wszystkich wiadomości, dostrzegłem słowa, nieprawnie skonfiskowane; które należało się umieścić, ale cóż kiedy już nie było ani kawałka miejsca. Gdy ogromne litery napisu, zajmowały całą prawie wysokość gzymsu oddzielającego dół od pierwszego piętra, malarz był zmuszony umieścić drobnemi literami pod spodem następne słowa sens kończące: *znakomitych gości*.

Zapewne Państwu wiadomo, iż sławny Machiavel był Ambasadorem Toskanji przy dworze Francuzkim. Wydał Pamiętniki o tem poselstwie, podczas którego starał się poznać gruntownie ducha i obyczaje naszego narodu. Otóż w Pamiętnikach swoich napisał o nas. *„Przyszłość jest niczem dla Francuzów.“*

Te Pamiętne Machiavela słowa przyszły mi zaraz na pamięć gdym się przyglądał napisowi na oberży. Znać, — pomyślałem sobie — że ten człowiek co te litery malował zaczynając, ani pomyślał jak skończy. Nicby to nie było, gdyby w tej tylko wsi był napis tym sposobem zaczęty; ale niemasz miasta niemasz wioski w całej Francji, żeby się na co podobnego natrafić niezdarzyło; i otoby jeszcze mniejsza, gdyby tak nie zaczynano pałacu, kanału, co mówię wojny, jak ten malarz zaczął swój napis.

W tak pięknych marzeniach zatopiony, nie postrzegłem iż Pan Brisemiche sam w swojej osobie, czapkę wełnianą mając na głowie, serwetę zamiast fartucha a nóż kucharski przy boku, zajął stanowisko na progu we drzwiach kuchni i pilnie wpatrywał się we mnie. Brzuch potężny, twarz rumiana nie tyle mnie zdziwiły co wełniana czapeczka niedbale założona na włosach zamiast pudru mąką posypanych, z pod której to czapeczki

wyglądały uszy także od mąki białe i worek z włosami w tyle; z wszystkich tych rzeczy zdawał się niezmiernie dumnym.

Zapewnę niemiał z czego (ale ileż to ludzi dmie choć niema z czego? Ten człowiek — rzekłem sam w sobie — traci co dzień pół godziny, wydaje pieniądze na mąkę i pomadę, w najpiękniejszej porze roku nosi wełnianą czapkę a to jedynie dla tego ażeby z siebie zrobić najbrzydszą i najśmieszniejszą karykaturę, jaką tylko można wymyśleć.

Być bardzo może, iż gdy tak spokojnie spoglądałem na Pana Brisemiche, te moje uwagi, albo przynajmniej część tych uwag mimowolnie objawiły się na mojej twarzy; ale to jest niewątpliwem, iż P. Brisemiche szkaradnie skrzywił się na mnie, co mnie zniewoliło do udania się w dalszą drogę.

O kilkaset kroków z tamtąd przechodząc koło ogrodu bardzo starannie uprawnego ujrzałem Ogrodnika polewającego kwaterę truskawek. Ten poczciwy człowiek daremnie sobie tyle pracy zadaje; dziś bez wątpienia będzie padał deszcz. Gdy już wypróżnił całą swoją blaszaną konewkę, oddałem mu sprawiedliwość za tak przykładne ogrodu utrzymywanie, ale dodałem: Dziwi mię to że dzisiejszego wieczora trudnisz się ogrodu polewaniem.

Czy nie widzisz tych czarnych chmur. Będziemy mieli deszcz.

Deszcz? — rzekł kiwając głową.. O! nie, nie będzie go. Głaskałem dziś kota.“

Długo przemyślałem nad tem jaki może być związek między kotem a deszczem; tymczasem ogrodnik napełniał i wypróżniał konewki, nie mówiąc do mnie ani słowa, zdjąłem nakoniec pychę z serca i z pokorą spytałem się o wytłomaczenie mi tajemnicy której dotąd dociec nie mogłem.

„Widzisz Pan — rzekł — kiedy głaszczę mego kota, a futerko jego się sklni, wtedy nigdy niema deszczu.“

Nie mogłem nic więcej dowiedzieć się od niego, trzeba więc było iść dalej w drogę lubo mi z głowy wyjść nie mogło to ważne dostrzeżenie meteorologiczne pracowitego Ogrodnika.

Spoglądałem na ten obszerny nawał chmur różnych od siebie postacią, różnych kolorem, a których całość tak dobrze maluje wyobraźnią naszą. Ileż to przedmiotów, wesołych, strasznych a zawsze dziwacznych, przebiega w myśli naszej jak te chmury po niebie, i jak te chmury znikają.

Kot ciągle mię zajmował; a od kota myśl moją wznosiłem do chmur. Zebrawszy więc jak mogłem wszystkie wiadomości fizyczne po moim umyśle rozpierzchłe, tak zacząłem rozumować.

Iskry za głaskaniem wydobywające się z kota, są iskrami elektrycznemi, bo ręka głaszcząc elektryzuje sierść; ale te iskry wtedy się tylko śklnią gdy powietrze jest suche, bo sierść podczas wilgoci niemogłaby na sobie elektryczności zatrzymać.

Ale czemuż nie trzeba się obawiać deszczu, gdy powietrze jest suche? Te chmury będące zbiorem wilgotnych wyziewów, niemogąż zmienić się w deszcz i spaść na ziemię równie w czasie suchym jak i wilgotnym. Niemogą, bo powietrze suche, równie jak ziemia sucha, jak gąbka sucha może połknąć wiele wilgoci. I nawet gdyby te wyziewy ziemne zmieniły się w wodę nie doszedłszy na ziemię, ta woda rozeszłaby się w powietrzu. Tak rozumując ujrzałem mały obłoczek, który nie połączywszy się z żadną chmurą znikł. Przekonałem się więc oczywiście iż się rozszedł w powietrzu; gdyby atmosfera była wilgotna, byłby spadł z deszczem na ziemię.

Przecudownie — rzekłem sam do siebie — mam więc w domu barometr doskonały, a co większa barometr który myszy łapie.

W tych myślach zatopiony, przyszedłem do Villeneuve Saint-Georges. Na samym wstępie ujrzałem śliczny obraz.

„Jaki! olejny czy sztychowany?" — zapytała jedna z Dam.

„Nie Pani. Obraz żywy, któremuby można dać napis: Wieśniaczka przedająca wiśnie."

Miała przed sobą Osła który dźwigał koszę pełne wisien; czekała na amatorów; ale jak Państwu wiadomo niema nic nudniejszego nad czekanie; szczęśliwy kto będąc w takiem zdarzeniu przynajmniej czytać umie; nasza wieśniaczka była tak szczęśliwą. Siedząc na ławce pod wielkim dębem, trzymała w ręku jakiś stary szpargał; zapewne Powieść o Kopciuszce, lub jaką historją również ważną i ciekawą, bo czytała z największą uwagą nie podnosząc bynajmniej oczu.

Tymczasem osioł bawił się swoim sposóbem. Stanąwszy przed swoją panią, wyjadał jej owies z fartucha; ażeby się zaś owsa ani dźbła nie rozsypało, przezorna wieśniaczka zawiązała końce fartucha na szyję osłowi, i tym sposobem utworzyła mu bardzo wygodny żłób.

Wchodząc widziałem ten komiczny obraz. Osioł zatapiał głowę swoją w fartuchu sięgając po ostatki podwieczorka, a uszy jego wielkie i podniesione wyglądały tylko z tego ustronia wznosząc się hardo ku niebu.

Przeszedłem miasto ażeby wrócić wzdłuż rzeki Yeres; co za ładne nadbrzeża, bo też mieszkań-

ce tej okolicy, nie otaczają własności smutnemi parkanami. Nic tak nie przyozdabia wsi jak żywe płoty; i łatwo robić dobre żywe płoty zwłaszcza teraz, gdy moda zakładania ogrodów Angielskich, tyle nam przyniosła nowych krzewów zdatnych na ten użytek. Weźmy naprzykład na płoty do opasywania ogrodów, głogi wszelkie kolczaste i drzewo nazwane przez Lineusza: Gleditachia triacauthos, której kolce twarde, spiczaste gęste i na trzy lub cztery cali długie odstraszą najzuchwalszego nawet złodzieja.

W miejscu w którem rzeka najbardziej zbliża się do drogi, ujrzałem rybaka łowiącego na wędkę. Życzyłem mu szczęścia i dobrej zabawy i poszedłem dalej. Ten rodzaj rozrywki nigdyby mię nie znęcił; trzeba być albo bardzo dowcipnym albo bardzo niedorzecznym żeby w niem znaleść upodobanie.

Wiadomo Paniom iż przeszedłszy wioskę Yeres, o kilka staj widać jakiś Klasztór, a raczej szczątki jego. Jak miły widok wystawiają takie zwaliska. Podają filozofowi myśl o władzy czasu, osobom czułym wlewają w serce słodką melancholją; pobożnym uczucia religijne, poecie przedmiot Elegji. Choć nie jestem poetą znalazłem w tych murach kilka romansów które niezadługo podaruje publiczności.

Pod dachem kościelnym, jaskółki mnóstwo sobie gniazd ulepiły; rojami wylatały i przylatały to z gniazd do rzeki, to na pola, i znowu wracały do gniazd, długiemi skrzydły porząc powietrze. Ale o zbrodnio! chłopcy ze wsi, z długim prętem w ręku ubijali przelatujące!

Kto jak dostrzegacz na przechadzkę wychodzi, ma wiele zabawy, ale i nieprzyjemności znajdują się czasem. Sam przeciwko tylu chłopcom niemógłbym siłą odstręczyć ich od tej srogiej zabawy. Przybliżyłem się jednak do nich, a wziąwszy jednego za rękę — rzekłem do niego: „Chłopczyku! może niewiesz, iż ojca twego i matkę biorą do więzienia, i własnie teraz wyprowadzają ich z domu.“

Mały chłopczyna spojrzał na mnie jakby chciał z oczu moich wybadać czy mu prawdę mówię: Tak — mówiłem dalej — przyszli żołnierze, i tłumaczenia się twoich rodziców słuchać niechcieli.

Natychmiast chłobczyk pobiegł do wsi.

Zawołałem drugiego i tę samą bajkę mu powtórzyłem: Przyszli żołnierze po twoich rodziców. I po twoich — rzekłem do trzeciego, a moje dzieci, dalej w nogi.

Chciałem zwieść czwartego, ale ten cokolwiek starszy od innych, niebył tak łatwowierny. „To nie prawda.“ — rzekł i tupnął nogą.

Ale gdyby to prawdą było — zawołałem —

gdyby w istocie ojca i matkę twoją brano do więzienia, powiedz, cóżby się stało z tobą?... Nieodpowiadasz. Ale ja wiem coby z tobą było, wiem. Niemiałbyś nikogo, któryby chciał mieć o tobię staranie, któryby cię żywił i odziewał; umarłbyś z głodu.

Młody chłopczyk pomięszany i nie wiedząc co na to odpowiedzieć, chciał odejść alem go wstrzymał, a pokazując mu strzechę i gniazda zapytałem: Cóż tam jest na górze? „Gniazda.“ — „A w tych gniazdach?“ — „Ptaszki.“ — „Tak jest, dzieci jaskółek, jeśli im ojca i matkę zabijesz, coż się z niemi stanie?“

Chłopczyk chciał odchodzić, ale powtórzyłem pytanie moje. — „Umrą z głodu“ — odpowiedział.“ „I jakże tak możesz mój przyjaciela! zimną krwią robić to, czegobyś niechciał żeby tobie zrobiono? Twoi koledzy wkrótce we wsi dowiedzą się że byli tylko zwiedzeni, znajdą jeszcze i ujrzą rodziców, ale te biedne ptaszki już nie zobaczą swoich boście ją zabili. Dotąd nie mam ci tego za złe, boś czynił bez zastanowienia, ale odtąd...“

— Nie, już tego więcej nie zrobię — rzekł chłopczyna zawstydzony i wzruszony.

— Daj mi rękę. Bądź zdrów.

Wkrótce chłopczyk odzyskał dawną swoją wesołość; odchodząc wymogłem na nim przyrzecze-

nie, ażeby wszystkim swoim kolegom słowa moje opowiedział; i mam nadzieję że dotrzyma przyrzeczenia, bo gdym już był daleko widziałem, iż wypuścił na wolność jaskółkę którą przywiązał był za nogę do małego drzewka,

Nasz wędrowiec miał dalej podróż swoją opowiadać, gdy w tym P. Froidure wszedł do ogrodu przespawszy się nieco w pokojach. „Jutro Paniom resztę opowiem.“ — rzekł P. Vertage. Chciano wiedzieć koniec, ale opowiadać wymówił się późną już porą.

Całe więc towarzystwo, wróciło do domu. „Prawdziwie Panie Froidure — rzekłą jedna z Dam obracając się do niego — żal mi WPana żeś tak nudną obrał sobie przechadzkę, bo gdybyś był wyszedł w tę samą stronę co P. Vertage byłbyś się przyjemnie zabawił. Powiedzże nam gdzieżeś chodził?“

— Pani! wyszedłem drogą do Villeneuve Saint Georges, a wróciłem koło rzeczki Yeres i koło ruin klasztoru.

— To być nie może.

— I cóż tu dziwnego?

— I znudziłeś się?

— Bardziej niepodobna.

— Jakto? Przechodziłeś koło oberży pod Słońcem wschodzącem, i nic nie uważałeś.

— O! Prawdziwie! Ta karczma jest godną uwagi.

— Jakto? Niewidziałeś Wieśniaczki przedającej wiśnie, w Villeneuve Saint-Georges.

— Szczerze mówię, że nie wiem o żadnej wieśniaczce, w Ville-Neuve; nikogo tam nieznam.

— Widziałżeś przynajmniej jaskółki w klasztorze Yeres. (ły,

— I tego nie. Cóż mnie mają obchódzić jaskółki.

„Kiedy tak — zawołali wszyscy razem, to pojmujemy dlą czego tak się znudziłeś.“

Słowik, Puhacz i Kukułka.

BAJKA.

„Niewiem, czem zasługuje na takie pochwały
Słowiczek mały.
Krzyczą wszyscy: „To spiewak, spiewak doskona-
Niewiem w czem tak osobliwy,
Jego głos piskliwy,
Który tak razi i głuszy
Że muszą zatykać uszy.

Co mnie najbardziej rozżala,
Że ciebie nikt nie pochwala
Ciebie której głos donośny
Wart być w pięknych rymach głośny.
Ty co robisz tyle jak z krucicy huku,
Gdy krzykniesz po lesie: „Kuku."
Tak mówił ogromny brzuchacz,
Ciemny a nadęty Puchacz."
Nie tak mysz się raduje widząc Ser na pułce,
Jak te słowa do serca przypadły Kukułce.
„Drogi Sąsiedzie! — rzekła — Wierzaj mi prawdzi-
Równie z tobą ich złemu gustowi się dziwię. (wie,
Umiem cenić talenta; gdy mam mówić szczerze
Za spiew zawsze odemnie puhacz laur odbierze.
I co za myśl dzika
Uwieńcza słowika."
Tym czasem grono ptaków Słowika słuchało,
I za śpiewanie zachwycające,
Niosło mu słusznie dzięków tysiące. —
— Nie rozsądna krytyka jest nową Pochwałą.

B. H. K.

Koniec Tomu IV WANDY.
z Roku 1822.
Ogólnego zebrania
WANDY Tomu XX.